

## **Kolumbia. Jedyne ryzyko polega a tym, że będziesz chciał tutaj zostać.**

Rok 2006. Czuję, że muszę wyjechać z Europy. Czuję, że tutaj wszystko ma już swoją definicję i swoje przewidziane miejsce. Szósty zmysł ciągnie mnie do Ameryki Łacińskiej, a rozum mówi mi, że to dzicz i że przecież nie znam języka. Meksyk? Argentyna? Zaraz, zaraz, wśród partnerskich uniwersytetów jest jeszcze i Los Andes, ten na białej plamie na mapie, ten w Kolumbii. Profesor pyta się mnie raz jeszcze, czy wiem, dokąd jadę. Odpowiadam zgodnie z prawdą – nie wiem. Jadę samotnie do kraju, o którym jedyne informacje w mediach dotyczą przechwyconych ładunków kokainy.

Łąduję w Bogocie, na 2.600-setnym metrze ponad poziomem morza. Widzę ogrom miasta, trąbiących kierowców, próbujących wykorzystać każdy wolny centymetr między samochodami i potok ludzi, wypełniający przystanki autobusów szybkiego ruchu Transmilenio. Dziwi mnie mrok zapadający punktualnie o osiemnastej i poranek niezmiennie o szóstej, jesienny chłód zamiast oczekiwanego tropiku (przecież jesteśmy tylko dwa stopnie od równika) i urywany oddech powodowany rozrzedzonym powietrzem.

A zarazem, słyszę najczystszy hiszpański na świecie, czuję błogi zapach świeżej, kolumbijskiej arabiki w kolonialnej dzielnicy Candelaria i zakochuję w Kolumbijczykach, którzy gościnnością na krok nie ustępują Polakom i zawsze kojarzą Polskę z figurą naszego papieża, a niektórzy nawet z piłkarskimi wyczynami Grzegorza Lato.

Nawet nie zauważyłam, kiedy ośmiomilionowa stolica Kolumbii stała się moją codziennością. Kupiłam cieplejszą kurtkę. Solidne buty do wspinaczek górskich, które profilaktycznie przywiozłam w te dzikie,

mniemając, Andy, zabrała moja dzielna mama po swojej pierwszej wizycie, a ja nauczyłam się zręcznie wymijać wyboje chodników w baletkach. Zwiedzając kraj, wdrapałam się na kapryśny wulkan El Ruiz, skoczyłam na paralołni w Medellin, przeszłam przez pole koki w Putumayo i zeszałam do prekolumbijskich grobowców w Tierradentro, i nigdy mi się nic złego nie stało, a sowańskie blond włosy od początku były moim paszportem do serdeczności.

Minęło osiem lat, a kiedy straciłam nadzieję, że kiedykolwiek wybiorę dla siebie Kolumbijczyka, którego znów mój szósty zmysł kazał mi szukać, wpadłam na kolumbijskiego architekta, zafascynowanego renesansową Florencją i renesansowym, poznańskim Ratuszem. Nie ma moich 182 cm wzrostu i nic z typowego, latynoskiego amanta, do którego wzdychałyśmy z koleżankami, oglądając po szkole kolumbijskie telenowele. Ma za to ogromną wrażliwość i projekt imponującej biblioteki w departamencie Casanare na koncie.

Z czasem, szmaragdowozielone wzgórza z plantacjami kawy oraz klimat, który zmienia się tu nie w czasie, ale wraz z wysokością, przestały mnie zadziwiać. Wciąż jednak drżą mi z przejęcia ręce, gdy wybieram najbardziej dojrzałe owoce lulo na lokalnym targu i nadal patrzę z niedowierzaniem, gdy Bogotańscy z upodobaniem wrzucają plaster żółtego sera do gorącej czekolady i piją dopiero wtedy, gdy ser porządnie się rozpuści.

Czasami śnią mi się czereśnie. I mamine śledzie w śmietanie.

Jednak, gdy samolot dotyka ziemi i gdy taksówka wiezie mnie z lotniska w stronę pasma gór, które niczym wiecznie zielony parawan osłania Bogotę od wschodu, a z głośników wydobywa się uwielbiane przez Kolumbijczyków *vallenato*, czuję, że mój szósty zmysł doskonale wiedział, gdzie będę szczęśliwa. A przez myśl przebiega mi hasło programu promującego kraj, które stało się moim zaklęciem: „Kolumbia. Jedyne ryzyko polega na tym, że będziesz chciał tutaj zostać”.

*Opublikowane w Wysokich Obcasach kwiecień 2015*

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,17821221,Kolumbia\\_\\_Jedyne\\_ryzyko\\_polega\\_na\\_tym\\_](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,17821221,Kolumbia__Jedyne_ryzyko_polega_na_tym_)

[\\_ze\\_bedziesz.html](#)